

# **ERNEST HEMINGWAY**

## **Stary człowiek i morze**

Przełożyła Kaja Gucio

**MARGINESY**

*The Old Man and the Sea*

COPYRIGHT © Hemingway Foreign Rights Trust / Hemingway  
Copyright Owners

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kaja Gucio  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Był stary, pływał w pojedynkę łódką w Golfsztromie i od osiemdziesięciu czterech dni nic nie złowił. Przez pierwsze czterdzieści dni towarzyszył mu chłopiec. Ale po czterdziestu dniach bez choćby jednej ryby rodzice chłopca orzekli, że stary to teraz bezwzględnie i nieodwołalnie *salao*, największy pechowiec, a syn na ich polecenie zaczął pływać na innej łodzi, która już w pierwszym tygodniu złapała trzy porządne sztuki. Chłopcu smutno się robiło na widok starego, który codziennie wracał tą swoją pustą łódką, więc zawsze pomagał mu dźwigać zwoje lin albo osękę z harpunem i żagiel okręcony dookoła masztu. Żagiel był połatany workami po mące, a zwinięty wyglądał jak sztandar wiecznej klęski.

Stary był chudy i zasuszony, kark miał poorany głębokimi bruzdami. Oba policzki pokrywały mu ciemnobrązowe plamy, oznaki łagodnego nowotworu skóry, częstego w tropikach, gdzie słońce pali blaskiem odbitym od morskich fal. Ręce miał całe w bliznach od wyciągania ciężkich ryb na lince. Świeżych szram jednak nie miał. Wszystkie były stare jak rozpadliny w bezrybnej pustyni.

Wszystko w nim było stare oprócz oczu, a te miały barwę morza i były pogodne i niezłomne.

– Santiago – odezwał się chłopiec, kiedy wspięli się na skarpę nieopodal wyciągniętej na brzeg łódki. – Mógłbym znowu z tobą wypłynąć. Zarobiliśmy trochę grosza.

To stary nauczył chłopca łowić ryby i chłopiec go kochał.

– Nie – odparł stary. – Trafieś na szczęśliwą łódź. Zostań tam.

– A pamiętasz, jak kiedyś przez osiemdziesiąt siedem dni nic nie złapałeś, a potem przez trzy tygodnie dzień w dzień łowiliśmy same wielkie?

– Pamiętam – odpowiedział stary. – Wiem, że to nie przez zwątpienie odszedłeś.

– Tata kazał mi odejść. Jestem za młody, muszę go słuchać.

– Wiem – odrzekł stary. – Normalna sprawa.

– On nie bardzo wierzy.

– Nie – powtórzył starzec. – Ale my wierzymy, prawda?

– Tak – stwierdził chłopiec. – Może postawię ci piwo na Tarasie, a potem pomogę zanieść te rzeczy do domu?

– Czemu nie? – odparł stary. – Między rybakami.

Usiedli na Tarasie i wielu rybaków kpiło ze starego, a on przyjmował to spokojnie. Inni, starsi, patrzyli na niego i ogarniał ich smutek. Ale nie dawali tego po sobie poznać i rozmawiali uprzejmie o prądach i o głębokości, na jaką zarzucili linki, o tym, że pogoda ostatnio dopisuje, i o wszystkim, co widzieli. Ci, którym się tego dnia poszczęściło, zdążyli już wrócić, wypatroszyć swoje marliny

i zanieść je, rozłożone na dwóch deskach – na obu końcach każdej dwóch ludzi ugięło się pod ciężarem – do składnicy, skąd miała je odebrać furgonetka i zawieźć na targ rybny do Hawany. Rybacy, którzy złapali rekiny, zanieśli je do przetwórci po drugiej stronie zatoki, gdzie podciągnięto je na wielokrążkach, wycięto im wątroby, oberżnięto płetwy, oskórowano, a mięso pokrajano na paski do nasolenia.

Kiedy wiatr wiał od wschodu, przynosił nad przystań smród z przetwórci, dziś jednak zapach ledwo dawało się wyczuć, bo wiało od północy, a potem w ogóle przestało i na Tarasie było przyjemnie i słonecznie.

– Santiago – odezwał się chłopiec.

– Co tam? – zapytał stary. Trzymał szklankę w dłoni i rozmyślał o dawnych czasach.

– Może przyniosę ci sardynek na jutro?

– Nie. Idź pograć w baseball. Jeszcze daję radę wiosłować, a Rogelio zarzuci sieć.

– Ale ja bym bardzo chciał. Skoro nie mogę z tobą łowić, to chciałbym się chociaż na coś przydać.

– Postawiłeś mi piwo – powiedział stary. – Jesteś już mężczyzną.

– Ile miałem lat, jak mnie pierwszy raz zabrałeś na łódź?

– Pięć. I mało brakowało, żebyś zginął, jak za wcześnie wyciągnąłem rybę, a ona prawie rozwaliła łódkę. Pamiętasz?

– Pamiętam, jak się rzucała i biła ogonem i jak połamała ławkę, i ten dźwięk pałki. Pamiętam, jak mnie rzuciłeś na dziób, na mokre liny, i jak czułem, że cała łódź się trzęsie, ten łomot, jak tłukłeś tę rybę pałką, jakbyś drzewo rąbał, i ten słodki zapach krwi.

– Naprawdę to pamiętasz czy słyszałeś ode mnie?

– Pamiętam wszystko, od czasu jak mnie pierwszy raz wzięłeś na łódź.

Stary popatrzył na niego wyblakłymi od słońca, ufnymi, pełnymi czułości oczami.

– Gdybyś był mój, tobym zaryzykował i znowu cię zabrał – rzekł. – Ale ty jesteś ojca i matki i pływasz na szczęśliwej łodzi.

– To może przyniosę ci sardynek? Wiem, skąd wziąć jeszcze cztery przynęty.

– Zostało mi trochę z dzisiaj. Nasoliłem i włożyłem do skrzynki.

– Przyniosę ci cztery świeże.

– Jedną – powiedział stary. Nadzieja i ufność nigdy go nie opuściły. Teraz jednak przybierały na sile, jak nagły podmuch bryzy.

– Dwie – oświadczył chłopiec.

– Dwie – zgodził się stary. – A nie ukradłeś ich przypadkiem?

– Jakby było trzeba, tobym ukradł – odparł chłopiec. – Ale te kupiłem.

– Dziękuję – powiedział stary. Był zbyt prosty, żeby się zastanawiać, kiedy osiągnął pokorę. Wiedział jednak, że ją osiągnął i że nie przynosi mu to ujmy ani nie odbiera prawdziwej dumy.

– Przy takim prądzie jutro pewnie będzie dobry dzień – dodał.

– Dokąd popłyniesz? – zapytał chłopiec.

– Daleko w morze, wróć, jak się wiatr zmieni. Chcę wyruszyć, zanim się rozwidni.

– Pogadam z tamtym, żeby też wypłynął dalej. Jak weźmie jakaś naprawdę wielka ryba, to będziemy mogli ci pomóc.

– Tamten nie lubi się daleko zapuszczać.

– Nie – odparł chłopiec. – Ale może wypatrzę coś, czego on nie zdoła dojrzeć, na przykład żerującego ptaka, i namówię go, żeby się wybrał na koryfeny.

– Aż tak niedowidzi?

– Prawie całkiem oślepl.

– Dziwne – stwierdził stary. – Przecież nie łowił żółwi. Od tego oczy się psują.

– Ty całe lata łowiłeś żółwie na Wybrzeżu Moskitów, a na wzrok nie narzekasz.

– Już taki ze mnie dziwny staruch.

– A starczy ci teraz siły na naprawdę dużą rybę?

– Chyba tak. Poza tym są różne sztuczki.

– Zanieśmy rzeczy do domu – powiedział chłopiec. – Potem wezmę sieć i pójdę po te sardynki.

Wyładowali osprzęt z łodzi. Stary zarzucił sobie maszt na ramię, a chłopiec podniósł drewnianą skrzynię ze zwojami ciasno splecionych brunatnych linek, osękę i harpun z drzewcem. Pudło z przynętami zostało na rufie, razem z pałką do ogłuszania dużych ryb po tym, jak już się je przyholowało do burty. Nikt by starego nie okradł, jednak lepiej było schować żagiel i ciężkie linki, bo rosa im nie służyła, a stary wprawdzie był przekonany, że żaden z miejscowych nic mu nie ukradnie, ale wołał nie kusić losu i zabrać osękę i harpun do domu.

Ruszyli razem drogą do chaty starego i weszli przez otwarte drzwi do środka. Stary oparł maszt ze zwiniętym żaglem o ścianę, a chłopiec postawił obok skrzynię i resztę ekwipunku. Maszt był niemal równie długi jak jedyna izba. Chata, zbudowana z twardych liści palmy królewskiej, na które mówiło się *guano*, mieściła łóżko, stół i jedno krzesło; do gotowania służyło palenisko na węgiel drzewny, znajdujące się bezpośrednio na klepisku. Na brązowych ścianach ze spłaszczonych, zachodzących na siebie liści łykowatego *guano* wisały dwa kolorowe obrazki, jeden przedstawiał Najświętsze Serce Jezusowe, a drugi Matkę Bożą Miłosierdzia z Cobre. Były to pamiątki po żonie starego. Dawniej na ścianie wisało też podbarwiane zdjęcie żony, ale zdjął je, bo kiedy na nie patrzył, czuł się samotny, dlatego teraz leżało na półce w kącie, pod czystą koszulą.

– Co masz do jedzenia? – zapytał chłopiec.

– Garnek żółtego ryżu z rybą. Chcesz trochę?

– Nie. Zjem później w domu. Rozpalić ci ogień?

– Nie, sam potem rozpalę. Albo zjem ryż na zimno.

– Mogę wziąć sieć?

– Pewnie.

Nie było żadnej sieci i chłopiec pamiętał, kiedy ją sprzedali. Mimo to dzień w dzień odgrywali to samo przedstawienie. Garnka żółtego ryżu z rybą też nie było i o tym chłopiec także wiedział.

– Osiemdziesiąt pięć to szczęśliwa liczba – odezwał się stary. – Co byś powiedział, jakbym wrócił z rybą, która by ważyła pół tony?



